

**Od autora:** Tym razem coś zupełnie innego, z przymrużeniem oka, na luzie, bez napięć, a mianowicie parodia... parodii amerykańskich powieści kryminalnych, czyli "Szmiry" Charlesa Bukowskiego, z ewidentną domieszką magii. Slang użyty celowo i z rozmysłem. Zapraszam!

---

- *Wierzy pan w szczęście?*

- *A co to?*

- *To taki fioletowy drozd.*

*(Charlie "Rączka" Belafonte)*

Gdyby nie okazjonalne cynki dawane zazwyczaj za drobne na chińskie piwo, którego na gwałt w sobotnie, pełne posuchy wieczory potrzebował trzeciorzędny, kaprawy kapuś Billy Kid, Frankie nie popchnąłby w życiu żadnej sprawy, nawet obskurnego, irlandzkiego wozu z węglem, jadącego w dół ulicy, gdzieś na południu Michigan w skwarne, sobotnie popołudnie. Miał mgliste pojęcie o pchaniu, co by to nie znaczyło.

Ale jakoś kręcił lody - miał parcie.

Jako prywatny detektyw był gorszy niż pryszcz na zadku w środku lata.

Od innych przedstawicieli tego parszywego fachu różnił się wręcz zwierzęcym uporem i właśnie jemu zawdzięczał to, że jako tako plątał, miał na rachunki, whisky i fajki.

Był małym, grubawym kolesiem przed czterdziestką, z metra ciętym, ruchliwym jak język trędowatego na dziewiczym cycku, o twarzy z gatunku takich, co mogą babcię w parku przyprawić o zawał. Wiecznie nieogolony, miał ponadto lekkiego zeza, szpetne blizny po ospie, rozsiane po całej puciołowatej facjacie jak gwiazdy na niebie, osobliwie krzywy zgryz, prezentujący się dość komicznie oraz nieco spłaszczony nos, pozostałość po bójce z krewkim Latynosem. Zapoznał się w życiu tylko z kilkoma książkami, w tym jedną z nich była książka telefoniczna. Na domiar złego cuchnął na kilometr gęstym potem i czosnkiem, który jadł do wszystkiego, bo ponoć „wielcy tego świata go jedzą i dlatego ich umysły są jak żyłeta”.

Lubił iść na całość, więc ostro poginał w te klocki, nie bacząc na konsekwencje.

Początkowo, zanim odkrył swoje boskie powołanie, pracował przez jeden sezon z niejakim Alem Butchinsky'm, weteranem znikąd, przy rozładowywaniu wozów z podkładami kolejowymi, ale jakoś ta robota nie paliła mu się w rękach – Bóg nie pobłogosławił, gdyż Bóg doskonale wie, kiedy się zjawić i obwieścić swą wolę. Wtedy nie ma zmiłuj.

Al ostro ciągnął z gwinta tanie, pełne siarki bełty w samo południe, więc rzecz jasna, cały ogrom pracy spadał bezlitośnie na Frankie'go, wkurzając go jak widok nagiej teściowej o świcie w Wielki Piątek, co musiało w końcu poskutkować nieuchronnym konfliktem z zapijaczonym kumplem, który wkrótce po stracie dwóch przednich zębów pojął, że życie to nie bajka – to gwałt, praca, praca i gwałt. To jak najazd kosmitów na wielkich, srebrnych maszynach.

- Cool, masz papierosy?

- Jasne.

- To wyjmij jednego i zapal, ok.? Poczuję wdzięczność. Będziesz miał jakieś zajęcie.

- Spadam, Al, spadam na dobre. Było tu jakieś zajęcie, ale są inne plany. Mam dość twojego chlania i kwaśnych rzygowin na trawie, która nawet do ciebie nie należy. Kumasz? Za bardzo bije ci w baniak. To koniec. Wypad z baru. Frankie leci z tym koksem gdzie indziej. I nie śpiewaj na odchodnym – nie mam

drobnych.

Potem Frankie pojawił się w Chester Oak jako facet do wszystkiego – od tego, i od tamtego, jeśli klient miał gotówkę i rozumował logicznie.

Przez chwilę kosił żywopłoty, później czyścił nadzianym bubkom baseny.

Na koniec wylądował w sklepie jako nocny cieć bez zezwolenia na broń.

- Czasem mam wrażenie, że jesteś niedorozwinięty – rzekł gruby Ernie, który go pomimo uwag żony Włoszki zatrudniał.

Żona Włoszka twierdziła zawzięcie, że Frankie ma lubieżne myśli i królicze spojrzenie, i te dwie cechy dyskwalifikują go do tej roboty. Powinien być pastuchem albo kimś w tym stylu. Ale nie cieciem w ogólnie szanowanym sklepie. Tu przychodzą panie, których mężowie są w mafii, w zarządzie spółek, firm i korporacji.

- Wiesz co, Beatrice, on ma jaja, nie potrzebuje gnata, choć wygląda jak stary zakapior.

- Ernie, ale on mnie obmacuje wzrokiem.

- On nic nie obmacuje – szlifuje tyłkiem wielkie, fioletowe krzesło.

- Ja myślę inaczej. Ma rozbiegane oczka. To takie niskopiennel!

- Kobiety są kosmitkami.

I wszystko zostało gładko wyjaśnione.

Frankie po jakimś czasie przeszedł mentalną przemianę i pewnego, wiosennego dnia, może w kwietniu lub w maju, pojawił się u Teddy Boy'a.

To była odwaga jakich mało – prawdziwy wyczyn.

Rzadko kto rzuciłby się na taśmę.

Rzadko kto miałby takie marzenia, by pracować dla niego.

- Teddy, jestem lepszy od innych – rzekł dumnie Frankie.

- Ha ha! W ptaka sobie lecisz?

- Jestem w porządku.

- Ale co to znaczy? Że co w porządku? Żołądek, nogi, twój mały? Co to za gadka?

- Jestem cholernie napalony.

- Na co?

- Urodziłem się detektywem. Nie robię tego dla floty.

- Aha. Spoko, loko, luz i spontan?

- Mam parcie, roznosi mnie. Polecę z tym koksem nawet do Bangkoku!

- Ja też kiedyś robiłem w tym gównie i jakoś nigdy nie bywałem napalony.

- Ale ze mną jest inaczej.

- Hm?

- Znajdę ci nawet orkiestrę z Titanica!

- Pieprzenie o Beethovenie.

- Bez kitu.

- Patrzę tak na ciebie, mały, i coś mi się widzi, że twój wygląd zaprzecza odwadze, o jakiej tu mowa...

- Może wyglądam jak wypierdek mamuta, ale mam jaja, Teddy, możesz im zaufać. I te chęci, co pchają mnie naprzód! Razem możemy zrobić miód, jakiego świat nie widział.

- Ładnie, dawaj dawaj – rzekł pod nosem Teddy z nogami na stole.

- Mogę kontrolować sytuację.

- Że co?

- Mogę.

- Jak?
- Ty zlecasz, ja wchodzę i pozamiatane! – zawołał radośnie Frankie.
- Coś chrzanisz. Może jeszcze powiesz, że jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu, co?
- Bo tak jest! Daj mi jakąś sprawę, a ja ci pokażę, jak to się robi w Chicago.
- Tu nie jest Chicago.
- Właśnie dlatego.

Teddy Boy zwątpił.

Chwilowo.

Jednak po jakichś sześciu minutach znów chciał dać Frankie’mu szansę.

Był poczciwy – miał żonę Włoszkę.

Nie leciał na ręcznym.

Nie strzelał z wiatrówki do wróbli.

Płacił podatki i miał firmę detektywistyczną „Teddy Boy and The Juniors”.

To zobowiązywało – był ucieleśnieniem nowoczesnej Ameryki i tego, co na świecie w tamtych czasach zwano szumnie „amerykańskim snem.”

Choć za dnia nosił kiczowate, oldskulowe, różowe garnitury i wielkie, czarne okulary z małymi, kolorowymi skrzydełkami na bokach, miał w sobie odrobinę wiary w ludzi – każdy może być jutro Elvisem, więc dobrze mieć otwarty umysł i czuć bluesa.

Dlatego ruszył mózgiem, to nie boli, a ponoć opłaca się.

Pijąc single malt można nagle odkryć, że możliwe jest zmieszanie oleju z wodą.

I poczuć, czym jest świadome myślenie, nieskalane głupotami o babach, hazardzie czy prochach.

- A pies go trącał! – krzyknął i nalał sobie kolejkę. – Dam mu to. A tak. Pamiętaj, Pablo, nie przyłaż do mnie potem i nie pytaj, czemu wziąłem właśnie tego szmaciarza. Kurdupel ma jaja. Może wygląda jak krzaczarz, ale kogo to obchodzi. Drugiego takiego nie znajdziesz, chyba że w Meksyku.

Za parę dni gość imieniem Pablo, wyglądający jak przez okno w szpetną listopadową noc i rozgarnięty jak kopka siana na wietrze, pojawił się w domu Teddy’ego i zadał głosem dość hardym to jedno, najważniejsze pytanie:

- Masz już kogoś, koleś?
- Ano.
- Kogo?
- Frankie’go.
- A co to?
- Może spytaj: a kto to?
- Wali mnie to, więc co to za jeden?
- Szmondak, ale nielicho czesze.
- Nie za to ci bulę, koleś.
- Koleś to był ten facet, który cię zrobił twojej matce.
- Wrrr...
- I morda, bo nic nie zrobię, kapiszi?
- Cmoknij wacka w pompę.
- Nie kozacz, bo zaliczysz lipę.
- A co to zakład pogrzebowy?
- Dla ciebie całkiem możliwe...
- Dobra, więc jak?
- On to pociągnie. Będzie gibać od gwizdka do gwizdka, to talenciak, żaden kiepszczak, choć twarzy sobie nie wybierał...

- A oni?
- Myślę, że uda się ich wysiudać. Grunt to dobry plan. Zero lipy. Upozoruje się obroną własną, to czysty legal. Ale robię to pierwszy i ostatni raz – nie zajmuję się posyłaniem ludzi do piachu, ale do pierdła. Pamiętam, jak twój ojciec mi kiedyś pomógł. Nie było szansy się odwdziżyć, bo w międzyczasie zmarł, więc teraz masz u mnie tę przysługę.
- Tylko żeby nie trzasnął popeliny, bo się zmarszczę.
- Nie ma napięć.
- Ma gnata?
- Konkretnego.
- A pozwolenie?
- Jasne.
- To git.
- Też tak myślę. Nie czuję tu przypału. Człenio jest zorganizowany.
- Dostanie cadillaca, jak wszystko będzie gitara. Dorzucę nawet skrzynkę whisky.
- Już kupuj.
- Szybka rozkminka?
- Szybka rozkminka.
- No to ma ten wóz. Wszystko wylaszczone.
- Wkrótce zacnie. Nie ma spiny.
- Się domyślam.
- Jak będzie pozamiatane, dam ci znać.
- Git.
- No to leć.

I poleciał jak ptak ku afrykańskim pustyniom.

Pablo od dawna wiedział, co oznacza nazwa „zakład pogrzebowy”, od przełomowej chwili, kiedy pewnego poranka Chemiczny Stevie, który do 1965 pracował jako licencjonowany czyściciel kibli i miał nieciekawy, metaliczny oddech, jakby zjadł lokomotywę razem z załogą, oraz jego kumpel Mental pojawili się w uśpionym w wiosennym dumaniu pueblo. Oświadczyli, machając rękami jak podnieceni Włosi, że wisi im sto tysia plus odsetki od momentu urodzin, i że ma dwa miesiące, aby spłacić ten fikcyjny dług względem ludzi, których nawet nie znał, bo spadli jak kosmici znikąd, ale jak wrzód na dupie pozostali. Choć byli dupkami, byli szalonymi dupkami. Z takimi nic nie wiadomo – ich mózgi były dość nieobliczalne i pracowały na nieco innych obrotach.

- Jesteście obrzydliwi. Jecie, pierdziecie, rzadko myjecie wacka, obchodzicie święta. Skazani na swą nędzną egzystencję. Podchodzicie codziennie do umywalki i liczycie żółte, skażone nikotyną zęby. W miejscach publicznych wskazującym palcem czyścicie brudne pępki. Co z was za ludzie? Za chwilę wrócę do pokoju, naleję sobie szkoocką z wodą i gówno mnie będziecie obchodzić.

- Hola, hola, ziomku, wiesz, o co biega? Płacisz, żyjesz, nie płacisz, kaplica. Liczy się konkret, a nie jakiś egzystencjalny fast food.

- A co wam z mojego trupa, jak wam nie zabeceluję?

- Inni złapią dla nas szacun, świńskim truchtem. Główką do ziemi. Do samej.

- E tam. Sranie w banie na śniadanie.

- Złapią. Lepiej daj nam to, co trza, a wszystko będzie wygitarzone. Nie ma odwlekania, czaisz? Nam pasuje każda opcja, tobie tylko jedna.

- Mam detektywa.

- Pozdrów go od nas w dniu śmierci.

- Czyjej, waszej?

- Nie, jego i twojej, choć już chyba nie zdążysz się pozdrowić, amigo.
- Pocałuj psa w kota.
- Szykuj kasę, dupku.

Frankie Cool powinien iść do klubu go-go i się ostro zabawić zamiast brać się za rzeczy, które mogły przerastać nie takich gierojów jak on. Ale kto wie. Każdy ma poczucie siły. Czasami. No prawie każdy. On miał. Tamtego lipca, tamtego lata, kiedy Teddy zlecił mu tę sprawę.

- Jest pewien problem, Frankie... - stęknął nieczysto Teddy.
- Co jest?
- Pojawił się ktoś nowy, powietrze gęstnieje...
- Jaki nowy?
- Chce koniecznie widzieć tamtych dwóch w dębowych jesionkach i my mamy mu to dać. To znaczy ty dokładnie. Dostałem cynk od Billy Kida. To jakiś desperado. Może ma zryty beret?
- O kurde! To i jemu nadepnęli na odcisk? Ci kolesie to kretyni. Nie szanują własnego życia.
- Nowy myśli, że jesteśmy agencją killerów.
- Może to i lepiej w tej sytuacji. To daje prestiż.
- To dobrze, że masz pozwolenie na gnata. Wszystko jest przecież relatywne...
- Jakie?
- Względne.

Kiedy pojawił się Wytrzeszcz, nic nie było już takie jak dotąd – przez chwilę.

Miał rudawy wąsik i spocone czoło. Wyglądał podle. W ogóle nie wyglądał. Bezczcił przestrzeń nieokreślonym obliczem, pełnym czegoś obrzydliwego i odpychającego na kilometr. Sprawiał wrażenie obytego przygłupa, który w oczekiwaniu na windę dłubie w nosie i oblizuje palec, a kiedy ta opcja zawodzi, nerwowo ugniata rozperek, jakby za moment miał randkę z Marylin.

- Frankie, znam cię, skurwielu, chodziliśmy do jednej budy. Mam zamiar cię zabić – wysapał w drzwiach, kiedy pewnego dnia pojawił się znikąd. Po prostu zapukał. Przyszedł niczym smród z wylewającego się szamba. Ohydnie. Nagle. Jak ból podbrzusza.
- Nie kumam – odparł Frankie. – Naspawałeś się, kolo? Chcesz mi sprzedać bałach?
- Nie podoba mi się twoja facjata.
- Tylko dlatego? Coś krzywo nawijasz. Liczyłeś, że z wrażenia zleję się w galoty?
- Jestem diabłem STAMTĄD.
- Skąd?
- STAMTĄD.
- A co to? Nazwa klopa, gdzie oglądasz świerszczyki?
- To Hellground, głosy mi powiedziały. Są w mojej głowie. Nie lubią cię.
- Zabić mnie, a co to za gadka? Masz jakieś pretensje do świata? Ktoś zjadł twoją starą?
- Przykro mi, to się stanie.
- Najpierw zróbmy to wszyscy, potem razem.
- Chemiczny Stevie wdziera mi się do mózgu, kumasz? Nie wiem, jak ten gość to robi, ale jeździ po moich zwojach mózgowych. Nachodzi mnie duchowo. Penetruje od środka. Mentalnie trzęsie moją jaźnią. Nie w kij pierdział!
- Masz coś z deklek nie tak.
- Chemiczny Stevie musi odejść, zajmuje moją przestrzeń życiową. Odbiera mi powietrze. Kisi mnie jak ogórka. Kasujesz go wkrótce. Potem mówisz, gdzie jest jego nagrobek. Podskoczę tam sprawdzić. Potem cię zabiję. Może wezmę kawałek twojego ucha na pamiątkę. Nie może pozostać żadnych śladów. Lecisz do piachu i gra muzyka, ale póki co, robisz, co rzekłem.

- Jesteś STAMTĄD?
  - Tak.
  - Z Hellground? A potem przyleciało UFO i w tej bajce były smoki, tak?
  - Głosy szepczą spod sufitu i mówią mi, co robić... w nich prawda, objawienie...
  - A pocałuj mnie w dupę! Nie wciskaj mi padaki. Zaraz napiję się szkockiej z wodą, bo tak mi się podoba, a ty odpalaj rolki i żebym cię tu więcej nie widział, kminisz? Bo strzelę taboretem w ten pusty łeb, że nawet nie zdążysz się sfajdać.
  - Wrócę, bo Wyższe Siły wybrały mnie na narzędzie...tak... one czekają... muszę posprzątać ten śmietnik, dać świadectwo Prawdzie. Szatan już na was czeka, na ciebie, i na tamtych dwóch. Pocałujecie go niedługo pod ogonem... A ja będę patrzył, jak Ojciec Czas wysysa z was życie, sss...
  - Co do mnie, to nie ten adres – nie pomogę ci. Możesz mi naskoczyć na pukiel i zatańczyć twista jak artysta. Idź sobie solidnie posztyftować, to w mózgu ci się rozjaśni. Jak jesteś taki bolo, to sam ich zaciukaj.
- I wypowiedziawszy te słowa, zamknął drzwi na jego twarzy.

Frankie Cool był ludzako podobny do Wytrzeszcza.

Takie anomalie zdarzają się czasem w nieprzewidywalnej przyrodzie, której tak naprawdę nikt nie zna, i trzeba to po ludzku zaakceptować jak wiosenny deszcz, czy gwałtowny grad, gdzieś w środku lipca, kiedy wszyscy piją na ganku zimną lemoniadę. Lecz nie należy akceptować wszystkiego, co przynosi życie – to byłoby nierozsądne. Poza tym nikt nie mieszka w Hellground – chyba we własnych urojeniach.

- Właściwie to głąb – rzekł pewnego dnia do siebie. – Jakiś kmiot z woskiem w uszach, między którymi hula wiatr. Don Bosco odstrzeliłby mu worek w trakcie reklam.

Don Bosco lubi oglądać piłkę nożną i odstrzelone worki. Każdy ma swoje pasje.

On ma kaprysy. Potrafi pomóc. Czasami. To bezcenne. Zwłaszcza w przypadku marnych spraw. Może tym razem należałoby uderzyć pod ten adres? Kto wie, może to dobra myśl?

- Markizie – zagadał do słuchawki Frankie – czy zechciałby pan...

- Chodzi o Wytrzeszcza, mały?

- Właśnie. O niego.

- Niedawno chłopcy zakopali go w odludnym miejscu, więc masz to z bani. Doigrał się. Kozaczył, ale marnie. Poginał jak impotent we włoskim burdelu. Podpiera teraz trawę od spodu, będzie dobrym nawozem. Niezbyt stare mięso. Grunt to dobra utylizacja materiału.

- Nie powinienem pytać...

- Nie powinieneś.

- Markizie...

- Co, mały?

- A Pablo?

- On nie ma z nami pod prąd.

- A więc...

- Teraz po prostu się rozłącz. To wszystko, łapiesz? Może kiedyś znów będziemy jechać na tym samym wózku, ale póki co, bądź dobrym jeźdźcem. Ja jestem na specjalne okazje, a ty jesteś detektywem od gównianych spraw, więc daj mi spokój. Żegnam.

- Ale ja...

- Skończ, jasne? Nie potrafiłeś nawet rozwikłać tej marnej sprawy sprzed dwóch lat. Twistera, który się podobno przypadkiem utopił w dole z gnojówką w piękne, sierpniowe popołudnie. Wierzysz w to? Co żeś wtedy opowiadał? Że samobójstwo, że nieszczęśliwy wypadek? Bzdet na resorach. Moi chłopcy go uciszyli i żeś nawet nie skumał. Daleś ciała. Teraz to koniec. Ja jestem dla specjalnych gości, nie dla ciebie.

Właśnie radośnie weszło słońce, kiedy Chemiczny Stevie i Mental zapukali niezbyt subtelnie do drzwi Frankie'go. Ten głośno pierdnął, po czym powlókł się do wizjera, żeby zobaczyć, o co chodzi i kto właściwie zawraca mu tyłek tak wcześnie rano. O tej porze normalni ludzie śpią. Przynajmniej kończą sen. Po chwili już wiedział. Dwie mordy, dwie nic nieznaczące mordy, nieogolone, obleśne, plugawe i żądne niezdrowej atrakcji, nieskalane bodaj nikłą tęsknotą za inteligencją.

Nie byli złudzeniem.

Otworzył.

- Co jest? – spytał.

- My jesteście – odparli chórem.

- Wołałbym posłuchać Mozarta. Stoicie mi tu jak widły w gnoju.

- Posłuchasz nas.

- Nie wiem. A co to pokój zwierzeń?

- Od kiedy nie miałeś kobiety?

- To moja sprawa.

- Może mielibyśmy jedną małą dla ciebie. Funkiel nówka nieśmigana. Zejdziemy z ceny.

- Nie wchodzę.

- Czemu?

- Nie lubię lekarzy.

- Ona jest czysta.

- Jak mój kibel po całym roku.

- To bogini, niunia twoich snów.

- Pieprzysz farmazony. Jesteś durny od urodzenia, czy ostatnio brałeś lekcje?

- No co ty, sytuacja wyczesana.

- Jestem samowystarczalny, odkąd rzuciła mnie druga żona. Lepsza rączka niż rzeźączka.

- Jednak spróbuj, zanim odmówisz. Nawet Elvis takiej nie pukał – to rzekłszy, gwizdnął przeciągle.

Po chwili w drzwiach pojawiła się młoda dziewczyna, około dwudziestki, z potężnym biustem i wydatnymi wargami, uśmiechnięta od ucha do ucha, gotowa na wszystko.

Cały czas ruszała dekoltem i oblizywała zmysłowo usta.

Była dzika i chciała mężczyzny.

- Candy, zrób temu panu dobrze – wyseplenił Chemiczny Stevie, śliniąc się jak chore dziecko w środku grudnia, kiedy całą wioskę dopadła epidemia ospy i nie było w okolicy lekarza.

- Paszoł won! – krzyknął Frankie. – Zjazd na bazę, bo właśnie mam telefon. Pedalować mi stąd, bure frędzle, będę chciał pociupciać, to sobie sam znajdę towar!

Tak się akurat złożyło, że rzeczywiście zadzwonił telefon.

Dobry pretekst, by zakończyć bezproduktywną rozmowę i pozbyć się nieproszonych gości.

Życie jest jak strzelanie z rozgrzanej strzelby, nie wiadomo, kiedy wypali i w kogo trafi.

Frankie miał podły humor, a wtedy brał na rogi każdego za sam fakt istnienia.

Choć wiedział, z kim rozmawia, udawał głupka, bo taki miał kaprys.

- Cool?

- Tak.

- Mówi Pablo.

- No i co z tego?

- Jutro o dziewiątej rano w barze „Pod Absolutną Hipnozą”. Kumasz, facio?

- A ja to pieprzę, koleś. Mam inne plany.

- Milcz, jak do mnie mówisz! Lepiej się pokaż.

- Bo co?

- Bo jajco. I tak cię przywiozą, jak zechcę. Chcesz niepotrzebnych zmagania?

- Wal się.
- Zatem załóż buty.
- Czemu?
- Nie będziesz się ślizgać w plastikowym worku.
- W kulki lecisz?
- Masz być.
- Pomyślę.
- Myślenie szkodzi takim jak ty.
- Nie znasz mnie.
- Ale niedługo cię poznam. I zapuszczaj kitę – powiedziawszy te słowa, odłożył słuchawkę.

Frankie poszedł do tego baru.

Był bardzo upartym, małym grubasem.

Lubił mieć ostatnie słowo.

Nie miał nic do stracenia, no może poza prowadzeniem sprawy Pabla, który najwyraźniej, co można było wyczytać z tonu jego wypowiedzi, nic o tym jeszcze nie wiedział.

Mógł też nieźle ściemniać, tylko po co. Ta wersja nie wydawała się dość wiarygodna.

Frankie nic nie wiedział o rozmowie Teddy Boy'a z Pablem, stąd w swej naiwności sądził, że ten ostatni nie wie o tym, że jemu, detektywowi z poważnym doświadczeniem, przypadła jego sprawa uwolnienia od monstrualnego długu znikąd.

Bar był obskurny jak buty małego Cygana, w środku śmierdziało częściowo przetrawionym alkoholem niezbyt wysokiej jakości i tytoniem, którego szare opary wisiały złowieszczo pod sufitem. Na jednym ze stołków kołysał się jakiś pijaczyna o twarzy skretyniałego dziecka.

- Halo, chodź tu! – krzyknął potężnie zbudowany blondyn w obszernej koszuli w żółte paski, obok którego siedział spokojnie chudzielec o bujnej, rudej czuprynie i dużej głowie, przypominającej plastikowe wiaderko po popcornie, w obcisłych, srebrnych spodniach.

To musiał być Pablo ze swoim przydupasem, którego powszechnie zwano Szalonym Dzieciakiem.

- Pablo?

- We własnej osobie.

- O co biega?

- Miałem podłe dzieciństwo, potem ojciec powiesił się na strychu, a matka zwariowała. Siostra dała nogę do Kanady i nigdy już jej nie widziałem. Moje małżeństwo trwało pół roku.

Ta zdzira miała gacha i polecili razem do Las Vegas. Pewnie się tam nieźle urządzili, on był forsiasty.

- Ale do rzeczy, Pablo, coś ty taki wydygany, przez telefon jechałeś grubo – rzekł Frankie.

- Mam teraz pewną lalę, Mirandę, która prawdopodobnie niewąsko gzi się facetem, na którego wołają Głowa. Nie jest za ładna. Ja na kacu i z trzydniowym zarostem wyglądam lepiej, ale ma coś w sobie. Znajdź coś na nich – jakieś zdjęcia, nagrania, świadków. Ty już wiesz dobrze, co. Chcę ich udupić, a ją, jeśli to się potwierdzi, pogonić w czorty.

- Pomyślę.

- To nie wszystko. Oni razem ćpają kokainę. Dlatego i to sprawdź. Nie potrzeba mi dziewczuchy narkomanki. Dlatego to wszystko robię.

- Pablo, mam cię uwolnić od Chemicznego Stevie'go i Mentala.

- Wiem, Teddy Boy mi mówił. Oni mogą cię zaciukać, nawet nie zdążysz pierdnąć.

- Ja też umiem posługiwać się spluwą.

- Obyś był szybszy.

- Będę. Nie zrobią mnie w wałka, polecę na lajcie.

- No nie wiem – rzekł nagle Szalony Dzieciak, uśmiechając się cierpko.



- Czego nie wiesz, Dzieciak? – spytał Frankie.
- Mental był w komandosach. W Wietnamie walił radośnie do Żółtków, dla niego to jak wysmarkać nos na twoje buty.
- A ja byłem w tyłku diabła i jadłem pizzę pepperoni.
- Acha.
- Mam w chacie kolekcję obrazów francuskich impresjonistów, niektóre oryginały. Drogie jak cholera. Wydałem na to większość swoich zarobków. Więc nie strasz mnie tymi dupkami. Chcę zarobić na kolejne obrazy i nic mnie już nie powstrzyma. Póki co, wszystko hula.
- Rozumiem – rzekł Pablo. – Nie wiedziałem, że jesteś koneserem sztuki.
- Nic o mnie nie wiesz.
- Zgadza się – zakończył Pablo.

Wieczorem zadzwonił telefon.

Frankie akurat opróżnił butelkę taniej whisky, zakąszając świeżym, wędzonym pstrągiem, i nie miał nastroju na pogaduchy o niczym, bo ponoć mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Jednak odebrał.

W słuchawce odezwał się głos Teddy Boy'a.

- Frankie?
- A co żeś myślał, że święty turecki?
- Był u mnie jakiś starszy facet. Bardzo elegancki, w meloniku, z laską, co miała złotą gałkę.
- A co mnie to obchodzi?
- Pytał się o ciebie. Nie wiem, skąd taki dżentelmen może znać kogoś takiego jak ty.
- Jak ja? A co ja psu spod ogona wyskoczyłem, czy jak?
- Nie to miałem na myśli. On wyglądał mi na arystokratę, a ty taplasz się w gównach tego świata.
- Nie znam tego gościa. Nie znam żadnego takiego gościa.
- Na pewno nie miał trzy ćwierci do śmierci.
- Po co mi o tym gadasz?
- Przedstawił się. To Edward z Manchesteru.
- Nie kojarzę. Może coś mu się pogrzało pod kopułą.
- Podobno wiele o tobie słyszał.
- Ciekawe, gdzie i od kogo.
- Nie to jest w tym wszystkim najgorsze... - jęknął nagle zboliałym głosem Teddy Boy.
- A co?
- On umie czytać w myślach.
- Pogięło cię, Teddy? Może jeszcze poleci ze mną w ślimaka?
- Opowiedział mi całe moje życie, życie matki i ojca. Nie mógł ich przecież znać. Żadne z nich nie było nigdy w Manchesterze. To jakiś magik.
- Kupy się nie trzyma.
- Wyczytał mi w myślach, że zleciłem ci sprawę Pabla. Byłem dla niego jak otwarta książka.
- A to ciekawe.
- Gadał też, że Pablo powierzył ci sprawę jakiejś cizi, co ćpa kokę. Robisz w tym?
- Mam zamiar.
- Edward z Manchesteru powiedział, że się kiedyś z tobą spotka, ale po co, to już nie mówił. Był tego absolutnie pewien, jego słowa były jak zapowiedź losu.
- Jakiś oszołom.
- Nie sądzę. On się chyba para magią i to na poważnie. Coś mi się widzi, że tak się sprawy mają. W kulki nie leci. Biła od niego prawda.

- Ode mnie też bije i wcale się go nie boję. Swoje zrobię, czy mu się to podoba, czy nie.
- Oczywiście rób.
- No.
- Ale to jeszcze nie koniec...
- Nawijaj.
- On powiedział, że Chemiczny Stevie weźmie do pomocy dwóch gangsterów z Południa – niejakiego Charlie'go Spoko i Martwego Pilota.
- Martwego Pilota?
- Chcą zabić Pabla i całą jego rodzinę, bo wiedzą, że im nie zabuli. To psychole. On żyje w wielkim domu z dziadkami, wujkiem, ciotką i ich dziećmi. Trochę trupów by było. Szkoda ich. Ci z Południa w konia nie walą – wchodzi, mordują i szpula.
- To zmienia diametralnie postać rzeczy. Nie dam rady czterem zbirom, nie mam wsparcia.
- Nikogo?
- Fazoletti się rozpił, a Psychiczny wyjechał za chlebem do Detroit. Im dalej w las, tym większy kwas. Odczuwam chwilowy brak jaj.
- Cholera. To się kibel zapchał...
- Muszę coś z tym zrobić, nie lubię przegrywać. Ale póki co, jest kicha. Cienko to widzę. Kiedy ci z Południa przylatują?
- Za dwa tygodnie. Edward z Manchesteru tak powiedział.
- To pewnie tak będzie.
- Powiem Pablo, żeby skombinował jakichś chłopaków do ochrony.
- Nikt się nie zgodzi na pewną śmierć. Każdy zdrowo myślący koleś wytnie dzidę.
- Ale niech chociaż spróbuje, a ty na razie nie rób nic. Zajmij się sprawą tej cizi, ok.?
- Dobra.
- Myślę, że Pablo znajdzie paru szaleńców, którzy mają gnaty i chcą sobie postrzelać.
- Wątpię, Teddy. Życie to chlanie, cipki i trzaskanie hajsu. Kto by chciał z tego rezygnować?

Frankie dość szybko ustalił ważne szczegóły dotyczące Mirandy i jej gacha.

Zrobił na mieście kilka interesujących zdjęć, przedstawiających parę, jak gorąco całuje się pod sklepem Dużego Mike'a, zawsze dającego whisky na krechę chłopcom, których ostro kręci picie, bo doskonale wie, co człowiekowi jest potrzebne do szczęścia.

Zdjęcia stanowiły żelazny dowód w sprawie.

Całowali się bezwstydnie w biały dzień i nie zwracali uwagi na nikogo.

Sami wystawiali się na celownik.

Było w tym coś obrzydliwego i zwierzęcego, ale tak jest zawsze, kiedy czyjaś panna pruje się na boku – nie ma tu za grosz klasy i sprawiedliwości.

Bo porządni obywatele najczęściej zakochują się w kobietach lekkich obyczajów, tak już ten świat jest urządzony i nikt tego nie zmienia.

Nie było problemu z ustaleniem adresu kochasia – Frankie nie był żółtodziobem, miał nawet komplet wytrychów, z których jeden posłużył mu pewnego dnia do otworzenia drzwi mieszkania Głowy, kiedy wraz ze swoją dziewczyną wyszedł po coś na dwór.

Ku swej radości odkrył na stole trzy gotowe działki kokainy, które szybko sfotografował.

Nie miał już wątpliwości, że cizia Pabla ćpa i puszcza się ostro ze swoim gachem.

Głowa znany był w kręgach kryminalnych jako niepoprawny erotoman, rwący wszystko, co na drzewo nie ucieka i bardzo przebiegły gracz, gdyż świadomie uzależniał swoje kochanki od narkotyków, by mieć nad nimi pełną kontrolę. Ponoć miał spory harem. Ponadto dość sprawnie operował nożem sprężynowym, o czym przekonało się już kilku zazdrosnych mężów i innych gości, których honor został przez podłego

oszusta wystawiony na szwank. Czy Miranda puszczała się z nim dla niego samego, czy dla kokainy – to pozostało tajemnicą.

- No to sprawa się wyjaśniła – rzekł pod nosem Frankie, opuszczając cichaczem mieszkanie Głowy. – Pablo ma to, czego chciał.

Wieczorem zadzwonił Teddy Boy pogratulować Frankie’mu udanego załatwienia sprawy Pabla, który zdążył się już wszystkim pochwalić.

- Dobra robota. Totalna rozklepochka. Dałeś niezłą pokazówkę – rzekł głos w słuchawce.

- Bułka z masłem. Rozgryzłem amanta na luziku. Taki bystrzak, a kokę na widoku trzyma.

- Jednak nie jest dobrze...

- Coś się pogrzało?

- Pablo nie znalazł żadnych chętnych do ochrony rodziny. Nawet ten przygłup Szalony Dzieciak dał nogę. Nocą. Nikt nie chce umierać, nawet jak dobrze płacą. Ludzie mają mózgi.

- Cholerna sprawa.

- Żebyś wiedział. Pablo ponoć rozmawiał nawet z samym Don Bosco, ale ten krzyknął mu taką sumę, że biedak spadł z krzesła i nabił sobie guza. Jest kiepsko. Jak tak dalej pójdzie, będzie masakra.

- Ja jestem za cienki w uszach.

- Wiem.

- Też mi go szkoda, ale sam wiesz – to jak nakrywać czapką słońce. Zaczyna mnie dręczyć sumienie, że nic nie mogę pomóc. Już nawet nie chodzi o kasę. Po co mają umierać za fikcyjny dług? To bez sensu.

- Dokładnie.

Frankie na chwilę zamilkł.

Słychać było tylko jego ciężki, miarowy oddech w słuchawce, jakby wielka, stara, zardzewiała lokomotywa właśnie ruszała ze stacji gdzieś niedaleko New Orleans.

Najwyraźniej bił się z myślami – jakimi – trudno rzec.

W końcu przemówił:

- Chyba jestem idiotą, Teddy.

- Czemu tak sądzisz?

- Ja to zrobię. Polecę po calaku. Odwalę ostrą bonanzę!

- Co?

- Stanę w obronie Pabla. Nie odczuwam żadnych podskórnych lęków. Animuję się w tym temacie i zamierzam nielicho nawywijać.

- To głupota, nie dasz rady czterem zbirom. Tylko smród po tobie pozostanie.

- To będzie akcja mojego życia. O ile dobrze pamiętam, mieli być za dwa tygodnie. Jutro mijają dwa tygodnie. Zaczaję się na lotnisku, żeby się im lepiej przyjrzeć. Mam sztuczną brodę i perukę. Nikt mnie nie rozpozna. Na powitanie wyjdzie Chemiczny Stevie i Mental, więc będę wiedział, kogo witają. Proste. Zamierzam w to wejść. Już nie chodzi o tego cadillaca, którego dostanę od Pabla, ale o splendor wojownika! Może jestem mały i gruby, ale to nie zmienia wcale całej sprawy. Będę wymiatać, choć jest niehalo, ale pieprzyć to w czapę – wbijam w tę opcję. Czas zakowboić – raz się żyje!

- Jak to zrobisz?

- A zastrzelę skurwieli. Krótki kaszel. Skurwibąki wylądują w drewnianym kimono!

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Niby w obronie własnej, tak jak było umówione. Mnie jako detektywowi policja uwierzy na słowo. Zna ich jak zły szeląg, są notowani za to i owo. Jak sam wiesz, mam już kilku sztywnych na koncie. Choćby tego damskiego boksera Jade’a Papillona, który terroryzował po pańsku pół wioski. Rzucił się na mnie z kosą. Jestem jak Czyściciel Złych Kominów! Grunt to niezachwiana wiara w siebie.

- To byłoby zbyt proste.

- Dam radę. Jakoś to urządzę. Żeby wyszło na to, że mnie zaatakowali. A skoro ratuję Pabla, to musi potem zeznać, że był ze mną i to oni rozpętali kiszkę, a my chcieliśmy negocjować.

Jeden wyjął spluwę, ale byłem szybszy, i żeby nie zrobili z nas siekanki, przejąłem kontrolę.

- Ano próbuj. Może kiedyś zostaniesz najlepszym, prywatnym detektywem w tym kraju.

- Nie ma spiny, masz to jak w banku.

Frankie odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął butelkę taniej whisky Blue Lagoon i pociągnął z gwinta. Beknął. Znów pociągnął. Znów beknął. Podrapał się po kroczu. Potem poszedł do pokoju i pił dalej. Otworzył okno i wyjrzał. Zdjął koszulę. Przeciągnął ręką po nieogolonej szczęce. Przepuszczał między palcami rozhuśtany czas. Był czwartek, zwykły jak wiele czwartków, które odeszły do krainy niebytu. W radio Roy Orbison śpiewał z przejściem „Pretty Woman”.

*„Pretty woman walking down the street*

*Pretty woman girl I'd like to meet...”*

Nie wiadomo kiedy przeholował i zleął w ciężkim zmysłów zatraceniu.

Nawet nie zdążył pościelić łóżka – zresztą był przyzwyczajony do spania w opakowaniu, czasem nawet w butach.

Wtedy spadł na niego ten przedziwny sen-wizja.

Był tak plastyczny jak obraz Picassa na ścianie w muzeum.

Z mrocznych odmętów nicości wyłonił się rumiany, elegancki pan, w meloniku na głowie, z laską o złotej gałce i rzekł spokojnym, matowym głosem z mocnym, angielskim akcentem:

- Cześć Frankie. To, co teraz widzisz, to nie sen, to transmisja wprost do twego mózgu.

Niebawem cię odwiedzę. Czekaj na mnie jutro, czyli w piątek, w domu, około piątej po południu. To będzie niezwykła wizyta, na pewno nigdy jej nie zapomnisz i włos ci z głowy nie spadnie. Nie mogłem się oprzeć. To było nam pisane w gwiazdach. Przypadek nie istnieje.

Zatem jesteśmy umówieni. Cześć – rzekł pan i w tym momencie Frankie ocknął się, natychmiast sięgnął po butelkę, z której pociągnął niewąsko ostrego hausta.

- Kie lichy... - stęknął nieczysto, wydobywając z ust dźwięk przypominający żabi rechot, po czym ciężko zasnął.

Dzień się skończył tak jak zwykle.

Kiedy nadszedł w końcu piątek, Frankie od samego rana zaczął odczuwać duszny, bezcielesny niepokój, tłukł się po mieszkaniu jak duch po bagnach Luizjany, bijąc się z myślami jak ze stadem natrętnych komarów, czy aby człowiek ze snu na pewno go odwiedzi i jaki ma do niego interes – nie wierzył bowiem w tym przypadku w bezinteresowną wizytę.

Coś wisiało w powietrzu.

Coś było na rzeczy, ale co?

Musiał się napić, aby jakoś stawić temu czoła.

- Kurde... Whisky się skończyła.

Poszedł do sklepu i kupił butelkę najtańszego bełta, i szybko otworzywszy go, pił już na ulicy.

Skręcił do pobliskiego parku, gdzie panował spokój i wyciszenie, usiadł na pierwszej lepszej ławce. Ręce mu się trzęsły, a wewnątrz czuł rozsadzające napięcie, jakby był napompowany nieznanymi gazami, które za chwilę zrobią wielkie „bum” i urwie się film.

Po chwili pół butelki przeszło do historii.

Właśnie minęła szesnasta – jeszcze tylko godzina, marne sześćdziesiąt minut, i okaże się, czy można wierzyć w sny.

A jeśli nawet, to czy bywają prorocze.

Wsadziwszy flaszkę do kieszeni, Frankie powlókł się z powrotem do mieszkania, a natłok myśli i ich gonitwa wzmożyły się po wprowadzeniu alkoholu do organizmu.

- A jak przyjdzie? Nie jestem aż takim durniem, żeby nie wiedzieć, że to Edward z Manchesteru. On we własnej osobie. Czego chce? Cholera, czego on ode mnie chce?

W domu otworzył lodówkę i wsadził tam butelkę, chcąc ją nieco schłodzić.

Czemu to zrobił? Może czuł, że akurat tak trzeba.

Potem szybko skoczył do łazienki i solidnie wypróżnił się, wiedząc, że Charles Bronson nie byłby dumny z takiego pokazu paniki.

Gdy nadeszła piąta, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Wręcz kobiece.

- To on... - jęknął jak rodząca młódka. – To żaden z wiatru robiony cudak...

Otworzył.

Jego oczom ukazał się wysoki mężczyzna, ubrany jak dziewiętnastowieczny arystokrata, strzygący sumiastym wąsem, nad którym jarzyło się pocziwe spojrzenie. Emanował od niego naturalny spokój i opanowanie. Na pewno nie był oszołomem. Budził natychmiastowe zaufanie.

- Cześć, Frankie – rzekł gość naturalnym głosem.

- Cześć, Edwardzie.

- Wiem, że wiesz, kim jestem.

- A ja wiem, że czytasz w myślach.

- Zgadza się. Robię też inne sztuczki.

- Wejź, masz do mnie biznes.

- Mam.

Usiedli.

Dopiero wtedy Frankie zauważył wielką, czarną torbę turystyczną, którą Edward trzymał do tej pory w ręce. Po chwili spoczęła na dywanie. Wyglądała na ciężką. Coś musiało być w środku. Dziwne, że od razu nie zwrócił na nią uwagi.

- Może whisky?

- Chętnie, choć wiem, że gustujesz raczej w bełtach.

- Nie przelewa mi się.

- To też wiem. Daj, zobaczymy, co tam przed chwilą kupiłeś w sklepie.

- Od Dużego Mike'a nawet bełt jest napojem bogów – rzekł filozoficznie Frankie.

Po chwili już pili. Gość nic nie mówił. Udawał, że mu smakuje. Może nie był smakoszem?

Po jego wyglądzie należało wszelako sądzić, że jest kimś i zazwyczaj pija przednie trunki. Jednak nie oponował. Z istic angielską flegmą sączył whisky. Było w tym coś ze sztuki.

Kiedy już opróżnili resztę butelki, Edward odezwał się poważnym głosem:

- Wiesz, po co przyszedłem?

- Absolutnie nie.

- Zrobić z tobą małą wymianę.

- Co takiego?

- Małą wymianę.

- Co masz na myśli?

- Zaraz ci wyjaśnię. Wiem, co ty masz na myśli. Chemicznego Stevie'go i jego dziką bandę. Podjąłeś się pozamiatać po nich, ale w głębi serca masz cykora, czyż nie?

- No mam.

- Surfer Sprawiedliwości już to zrobił.

- A kto to?

- Ja nim jestem.
- Nie kłamię.
- Zajrzyj do mojej torby.

Frankie podniósł się i ruszył w jej kierunku.

Przesunął suwak i krzyknął: wewnątrz znajdowały się cztery ludzkie głowy, na których wymalował się trup wytrzeszcz.

- Co to jest?
- To ekipa Stevie'go z nim samym na czele. Skasowałem ich po swojemu. Już ci nie zagrażają. Pewnie nie wiesz, ale nie dałbyś im rady. Skończyłbyś na cmentarzu.
- Edwardzie, możesz chwilę tu poczekać, skoczę tylko do Dużego Mike'a. Muszę się napić, natychmiast...
- Ok.

Kiedy po pięciu minutach wrócił, Edward siedział jakby nigdy nic na krześle i rozglądał się z wielkim zainteresowaniem po ścianach. Coś absorbowało jego uwagę. Na ustach błąkał się przewrotny uśmiešek.

- Chcesz jeszcze, Edwardzie?
- Polej.
- Te głowy to naprawdę twoja robota?
- Jasne.
- Pomogłeś mi.
- I tu będzie mowa o wymianie. Torba jest twoja, obrazy impresjonistów moje, rozumiesz?
- Chyba tak... - jęknął Frankie, czując już, na czym owa wymiana miała polegać.
- Jestem koneserem sztuki. Wiedziałem ze swoich źródeł, że jesteś w posiadaniu nie lada dzieł, i postanowiłem jakoś się z tobą dogadać – coś za coś, jak to w życiu.
- Ja je kocham...
- Wiem, wiem, ale już dziś mogę cię zapewnić, że będziesz miał jeszcze niejedno arcydzieło na swojej ścianie. Kupisz niebawem aż dwa. Pablo da ci cadillaca i wzruszony, że uratowałeś całą jego rodzinę zapyta, czy chcesz jeszcze czegoś. Ty mu wtedy powiesz, że masz na oku Moneta. I on ci go kupi. Już wiesz? Możesz mi zaufać – ja nigdy nie kłamię.
- W takim razie bierz, co chcesz, Edwardzie.
- Dzięki, Frankie, sprawiasz mi tym wielką przyjemność. Warto było przyjechać tu z Manchesteru. Powiem ci coś jeszcze.
- Co takiego?
- Jak już będziesz jeździł po mieście tym cadillackiem, zaczniesz dostawać więcej zleceń. Ludzie dostrzegą w tobie geniusza. Będziesz bogaty. Znajdziesz też kobietę swoich snów.
- Poważnie?
- Emily w tej chwili żyje jeszcze w Ohio, ale za jakiś czas poderwiesz ją w małej knajpce „Orange Heart”. Pobierzecie się. Urodzi ci dwie córki, z których jedna zostanie senatorem. Ty sam za dziesięć lat zasiądziesz w radzie miasta. I pomyśleć – wszystko dzięki tej jednej sprawie, dzięki obrazom i mojej tu wizycie.
- Kim jesteś?
- Surferem Sprawiedliwości. Edwardem z Manchesteru lub kim wolisz. Czy to ważne? Kocham malarstwo i to właśnie ono uratowało życie wielu ludziom. Dziwne, co?
- Tak... Pewnie do końca moich dni będę o tobie myślał.
- Na mnie już czas. Sprawa załatwiona. Finito. Nikt nigdy nie będzie deptać ci po piętach w związku z tymi trupami. Możesz spać spokojnie. Dobrze je ukryłem. Policja nic nie wykryje, nie będzie miała nawet marnego tropu. My też już nigdy się nie spotkamy. Zapamiętaj mnie z dobrej strony. Każdy medal ma je

dwie, jak pewnie wiesz. Ty widziałeś tę lepszą. Trzymaj się, Frankie, życie dopiero się zaczyna – i to powiedziawszy Edward z obrazami pod pachą opuścił bezszelestnie mieszkanie.

Wszystko, co powiedział przedziwny gość, sprawdziło się co do joty.

Nie będę was zanudzać wymienianiem tych wszystkich rzeczy – czytaliście przecież uważnie tę historię – czas potwierdził każde jego słowo.

Frankie po latach, przy grillu, powiedział:

- Znałem raz kogoś, kogo wcale nie znałem. Kto okazał się aniołem. Wierzycie w anioły? Mogą wyglądać tak jak my i wcale nie mają piór. Nie są nawet białe.

- Tak, tato – odparły wesoło córki.

- On przyszedł do mnie.

- Tak, tato.

- I przemówił. I poznałem jego czyny.

- Tak, tato.

- I nic już nigdy nie było takie, jak wcześniej... Zapukał do mojego mieszkania. Zajrzał do duszy...

- Tak, tato, ale może przewrócisz już te kiełbaski, bo się chyba przypaliły. Mamy dziś imprezę. Ciocia Wendy i wujek Sam są już bardzo głodni.

30 marca 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

mike17, dodano 18.04.2013 11:03

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).